

Cały nasz świat — Quentin

Od autora: Jest to początek pewnego cyklu.

Postaram się opowiedzieć w nim o ludziach pragnących szczęścia. Tylko tyle.

Zapraszam

„Cały nasz świat”

Część I

Q

To za długo. Czasem po prostu dochodzimy do wniosku, że to wszystko nie ma już sensu. Wtedy najlepiej doświadczyć jakiegoś przełomu albo świadomie wypisać się z całego przedsięwzięcia. Raz na zawsze. Prawdę mówiąc nie sądziłem, że do takiej konkluzji dojdę jeszcze przed trzydziestką, ale cóż. Bywa i tak...

Ludzie w moim wieku myślą z reguły o tym, żeby wygrać na loterii masę forsy, dzięki czemu rzucą gównianą pracę, wyjadą gdzieś daleko i będą wieść życie turysty podczas wiecznych wakacji. Mnie marzył się tylko święty spokój. Odkąd pamiętam, pragnąłem, by wszyscy dali mi spokój, cokolwiek to znaczy i znaczyło w przeszłości.

Na ułamek sekundy przed historycznym skokiem z okna trzeciego piętra zabytkowego budynku pomyślałem nad tym czy wszystko zrobiłem jak należy. Kilkanaście godzin wcześniej zacząłem uzupełniać listę rzeczy do wykonania, zanim ostatecznie rozwiążę kwestię swojej przyszłości. Przy każdym z punktów narysowałem kwadracik gotowy do odhaczenia. Tak więc nie było mowy, abym o czymś zapomniał. Mimo to wołałem mieć pewność, że nie zostawię po sobie „bałaganu”, nad którym głowić się będą moi najbliżsi. Z tym bałaganem i tak było przesądzone, w końcu trudno zachować czystość w chwili, gdy z rozłupanego łba tryska krew. Wiedziałem, że trzy piętra to niezbyt wysoko, dlatego najlepiej skoczyć głową w dół, by nie dać losowi żadnych szans. Krew, a może nawet kawałki mózgu dotrą aż do samej fugi brukowanej ulicy, toteż na zawsze odejdę dopiero po którymś tam deszczu. Zresztą, do jasnej cholery, nie mogę skoczyć tak, ażeby nie narobić nikomu kłopotów. Sory, panie Wiśniewski, za dodatkową robotę. Przysięgam, że nie będę sprawiał więcej kłopotów.

No więc stało się. W dniu dwudziestego pierwszego czerwca (był to piątek), w samo południe poszybowałem, jako się rzekło, głową w dół. Jak mawiają Indianie patrzący w niebo: *piękny dzień na umieranie*.

Pierwszy raz fantazjowałem o śmierci w wieku szesnastu lat. Właściwie przypominam sobie jeden wcześniejszy epizod, gdy jeszcze jako kilkuletni gnojek przyłożyłem sobie do brzucha ostrze noża. Nie byłem wówczas samobójcą, nie słyszałem głosów *zrób to, zrób to* ani nie cierpiałem z powodu odejścia bliskiej osoby. Byłem po prostu ciekaw, jak to jest, gdy zimne ostrze drąży żywe ciało. Z próby oczywiście nic

nie wyszło, wszak miałem trochę wyobraźni.

Jako nastolatek pragnąłem być niewidzialny i trzeba wam wiedzieć, że w gruncie rzeczy cel ten osiągnąłem. Nie chcę przez to powiedzieć, że inni ludzie w ogóle mnie nie interesowali. Miałem kilku kolegów, bliskich znajomych, może nawet przyjaciół. Lubiłem też dziewczęta, bardzo lubiłem. Sęk w tym, że w ludziach takich jak ja dochodzi do wielu sprzeczności. To tak, jakby mieszać ze sobą dwie substancje, których mieszać nie należy. Chciałbym podać tutaj przykład jakiejś chemicznej reakcji, ale nigdy nie miałem głowy do ścisłych przedmiotów. Wszędzie te pieprzone wzory wyglądające jak muzułmański alfabet.

Mówili, że Q jest nieśmiały. Wszyscy tak mówili, a ja uznałem, że to dobre rozwiązanie. Niech sobie czekają. Nie przewidziałem jednak, że natura ludzka, a już na pewno natura dzieci i nastolatków, krąży wokół aktów niewinnego bestialstwa. Wystarczy, że powiesz: *to tylko zabawa*, a wówczas wolno ci wszystko.

Im bardziej próbujesz nie rzucać się w oczy, tym większe prawdopodobieństwo, że znajdzie się ktoś, komu zaczniesz przeszkadzać. Natura da o sobie znać prędzej czy później, a wówczas trudno odróżnić dzieciaka od wilka. Chcesz czy nie przynależysz do stada, co gorsza, biorąc pod uwagę kryterium przebojowości i towarzyskości, jesteś najsłabszym jego ogniwem, toteż reszta podgryza cię, bo tak podpowiada im sumienie.

W swoim życiu nigdy nie padłem ofiarą przemocy fizycznej. Raz oberwałem prosto w nos, ale ledwo to poczułem. Właściwie nawet nie brałem udziału w feralnym konflikcie, a jednak miałem pecha. Miałem też wiele szczęścia do unikania łomotu. Na dobrą sprawę nawet nie wiem, czy potrafię wyprowadzić precyzyjnie prosty albo sierpowy. Zabawne, jedna z nauczycielek sądziła, że skoro jestem tak spokojny, pewnie w domu dostaję solidny wpierdol.

Wiele razy odniosłem wrażenie, że w opinii ludzi uchodzę za lekko upośledzonego mruka. *Q, jesteś taki spokojny* – słyszałem od najmłodszych lat z ust kolegów, koleżanek, znajomych, nauczycieli. Jedni mówili to z podziwem, a nawet zazdrością, inni zaś stawiali hipotezę co do stanu mojego zdrowia, jakby ów spokój był encyklopedycznym objawem niedorozwoju albo cholera wie czego.

Nie sądzę, abym był nienormalny czy coś w tym stylu. Nawet moja introwertyczność nie odbiegała specjalnie od standardu. Jak wszyscy chłopcy lubiłem oglądać pornosy, fantazjować o koleżankach z klasy, aktorkach, nauczycielkach i tak dalej. Słyszałem, jak mój kumpel przyłapał swojego kuzyna, gdy ten dobierał się do kury. Dacie wiarę...? A to mnie nazywano dziwakiem.

Straciłem dziewictwo krótko po swoich osiemnastych urodzinach. Nic szczególnego. Było inaczej niż sobie wyobrażałem i moja partnerka pewnie też. Twierdziła, że przede mną miała tylko jednego partnera, ale podejrzewałem, że kłamie. Chyba wszyscy znamy zasadę trzech, prawda? Gdy facet mówi, że spał w swoim życiu z trzema kobietami, najprawdopodobniej zawyżył wynik o dwa, a może nawet nie zaliczył żadnej. U kobiet jest na odwrót. Wszystko co powie, w domyśle należy pomnożyć przez trójkę.

Z seksem miałem dwa problemy. Po pierwsze wiele dziewcząt traktuje seks jako przedśionek związku, a tego przez długi czas nie chciałem lub nie byłem pewien czy chcę. Po drugie skutkiem ubocznym seksu była c i ą ż a. Dzieci, pieluchy, alimenty, gorączki, kolki, ząbkowanie, szczepienia, kołysanki, wycieranie nosa, nadgodziny w pracy i wieczne zamartwianie się o to czy wystarczy na wszystkie wydatki. Często nie wiedziałem, czego tak naprawdę chcę, ale byłem pewien, że nie potrzebuję dodatkowej odpowiedzial-

ności.

Długo myślałem, że kontroluję swoje życie pod każdym względem. W rzeczywistości mało co ode mnie zależało, a po raz pierwszy zrozumiałem to mniej więcej po roku pracy w Green&Grass – firmie zajmującej się produkcją i dystrybucją biurowych artykułów. Było to pierwsze poważne zajęcie i, jak się wkrótce okazało, ostatnie. G&G, *Państwa dostawca artykułów biurowych* – tak brzmiało nasze hasło promocyjne. Niezbyt twórcze i lotne, ale podobno robiło swoje. Pierwsze dwa lata przesiedziałem na stanowisku młodszego sprzedawcy. Cholernie długo, zważywszy na fakt, że szło mi raczej przeciętnie. Miałem za mało ikry i jeszcze mniej cierpliwości do słuchania pierdoł w stylu:

– Musisz zagnać klienta do rogu, ale nie pozbawiaj go poczucia swobody. Daj czas, ale nie pozwól zastanawiać się w nieskończoność. Bądź szczery, jednak używaj tylko języka korzyści. Zjedz ciastko i miej ciastko. To proste, prawda?

No więc po dwuletniej udręce przeniesiono mnie do działu zajmującego się relacjami z klientem. Dział ów tworzyło dawniej ośmiu doradców, zaś obecnie została nas trójka. Moja robota polegała na dzwonieniu do klientów i mówieniu: *tak, proszę pana/pani; oczywiście, proszę pana/pani; rozumiem, proszę pana/pani; wciąż nad tym pracujemy, proszę pana/pani; zależy nam na utrzymaniu dobrych relacji, proszę pana/pani*. Siedzenie i paplanie do słuchawki tych bzdur bynajmniej nie pchało mojej kariery naprzód, ale miałem trochę upragnionego spokoju. Poza tym nigdy nie wiązałem swojej przyszłości z G&G. Dość powiedzieć, że raz na tydzień przeglądałam ogłoszenia w rubryce praca.

Wtedy w biurze pojawiła się Alicja: młoda, zgrabna brunetka, piękna jak z obrazka. Zatrudniono ją akurat, gdy byłem na urlopie. Po prostu pewnego dnia ujrzałem ją przez oszklone drzwi prowadzące do biura. Siedziała przy pulpicie sekretarki, zastępując Joannę, która odeszła na urlop macierzyński. Z obojętną miną przespacerowałem do swojego stanowiska, włączyłem komputer, odłożyłem torbę na biurko i siadłem w fotelu.

O tym, że pracuje na zastępstwo dowiedziałem się przypadkiem, podsłuchując rozmowę kolegów w kuchni. Szczęsny powiedział:

– Joanna zaciążyła. Jak znam życie ten ptaszek też w końcu wyfrunie z tego samego powodu.

Jego rozmówcy zarechotali, zaś Szczęsny przeciągnął się jak tłusty, wykastrowany kocur.

Szczęsny. Nikt nie działał mi na nerwy bardziej. Jako dusza towarzystwa, wszędobylski lizus i kawalarz skupiał na sobie całą uwagę. Należał do grona tych ludzi, którymi od zawsze skrycie pogardzałem. Pewny siebie, nadęty bufon ze skłonnościami do megalomanii. Kiedy wchodził do biura, pochłaniał całą energię.

Jako sprzedawca osiągał świetne wyniki. Niemalże z każdym klientem od razu nawiązywał nić porozumienia, toteż szef hołubił go niczym ósmy cud świata. Skurwiel wypowiadał się na każdy temat, serwując zawsze garść anegdot.

Niedługo po tym, jak wróciłem z urlopu, zapytał:

– Q, co sądzisz o naszym kociaku?

Nalewałem akurat kawę z dystrybutora.

– Kogo masz na myśli? – odparłem.

– Nie świruj, przecież dobrze wiesz.

– Chodzi o Alicję?

– Przecież, kurwa, że nie o carycę Katarzynę. Więc, co o niej myślisz?

– Młoda, ładna i pewnie zajęta.

– Widziałeś jej instagrama?

– Nie miałem okazji.

– Zrób to. Naciesz chociaż oczy.

Nie wiem, co dokładnie miał na myśli. Pewnie próbował mi delikatnie dopiec. Zresztą chrzanić go.

Alicja była poza moim zasięgiem. Pozytywnym aspektem całej sytuacji był fakt, że Szczęsny także nie miał u niej żadnych szans. Może nie gromadziłem wokół siebie wielu znajomych, ale na ludziach znałem się jak mało kto. Jako jeden z nielicznych częściej słuchałem, aniżeli mówiłem, a już na pewno potrafiłem obserwować. Szybko więc zauważyłem, że nasza cudowna sekretarka grzecznie, aczkolwiek stanowczo odrzuca zaloty biurowego amanta. Po prostu gość nie był w jej typie. Co tu kryć, każda porażka Szczęsnego była moim cichym zwycięstwem. Pyrrusowym, ale jednak.

Przed Alicją byłem zakochany tylko raz w młodszej o rok dziewczynie z gimnazjum. Miała na imię Amelia i słowo daję, że zakręciła mi w głowie na kilka ładnych lat. Nie zliczę razów, gdy szwendałem się po szkolnym korytarzu w poszukiwaniu jej ruchów, gestów, uśmiechu czy głosu. To chyba wtedy wykształciłem sobie ten szczególny sposób postępowania.

Zwykle im bardziej dziewczyna mi się podobała, tym ciężiej rozumowałem. Przecież to proste podejść do panny i powiedzieć, jak gdyby nigdy nic: *hej, może miałabyś ochotę wyskoczyć po lekcjach na colę?*. W rzeczywistości stając twarzą w twarz z obiektem mych westchnień w mgnieniu oka zapomniałem znaczenia pewnych słów, przedstawiałem litery, szyk zdania i w ogóle robiłem masę kretyńskich błędów, jakbym dopiero wczoraj nauczył się mówić. Psia mać, w samotności tworzyłem kwieciste opowieści jak Cervantes. We własnym mieszkaniu byłem erudyta, a gdy tylko przestępowałem próg, czar pryskał.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to nic takiego i prędzej czy później wyrosnę z kompleksów tak samo jak wyrasta się z ubrań czy butów. Czas płynął. Urosły mi stopy, ciało zaczęło się poszerzać, a zarost nieregularnie kiełkował na policzkach. Tyłem, chudłem i tak w kółko, ale nic poza tym. Wtedy przypomniałem sobie te oto słowa: z pewnych rzeczy się nie wyrasta.

Ani się obejrzałem, a byłem jak pieprzony Clegg, bohater *Kolekcjonera* Johna Fowlesa. Oczywiście nigdy przez myśl nie przeszło mi, by porwać Alicję. Nigdy jednak nie zdobyłem się również na odwagę, by stanąć z nią twarzą w twarz i bez ogródek powiedzieć: *może miałabyś ochotę wyjść po pracy na colę?*. Alicja była moją Mirandą, ale to ja tkwiłem w więzieniu.

Bardzo powoli, ale niestrudzenie gromadziłem informacje na jej temat. Wiedziałem, że lubi hawajską sałatkę, kanapki z ciemnego pieczywa, bardziej od fanty woli pepsi, w wolnej chwili czyta powieści Camilli Lackberg, w ogóle nie zna się na sporcie, słucha typowo radiowej muzyki, często przegląda aukcje internetowe w poszukiwaniu ładnych ubrań, trzy razy w tygodniu odwiedza siłownię, maluje paznokcie u przyjaciółki, pija czerwone wino, ma puszystego kota, uwielbia dzieci, pisze prawą ręką, do pracy przed komputerem zakłada zerówki z powłoką antyrefleksyjną, pije słabą kawę rozcieńczoną dużą zawartością mleka, na bóle menstruacyjne zażywa ibuprofen, nie pali papierosów, mieszka z rodzicami, studiuje zarządzanie i marketing, nie ma tatuaży (przynajmniej nie w widocznych miejscach), ma prawo jazdy, nigdy nie przeklina, żuje tylko miętowe gumy, lubi porządek na biurku. Podobnych detali było o wiele więcej. Jeden zauroczył mnie szczególnie. Otóż Alicja, dokładnie tak jak ja, wykazywała skłonność do zagryzania wewnętrznej części policzka tuż przy wargach. Byłem pewien, że w ogóle tego nie kontroluje. Podczas tej czynności wyglądałem pewnie jak debil z krzywym zgryzem, ale jej wszystko uchodziło na sucho.

Nim zdążyliśmy poznać się bliżej, na jej palcu rozbłysnął pierścionek zaręczynowy. Całe biuro wiedziało o ślubie zaplanowanym na przyszły rok i podróży poślubnej na Malediwy.

Miłość jest ciężką chorobą pozbawiającą człowieka rozumu i odporności. Nie znam danych statystycznych, ale coś mi mówi, że nieodwzajemnione uczucie posłało do piachu więcej młodych ludzi niż jakiegokolwiek zaraza. Myślicie pewnie, że inspirowany losami odrzuconych romantyków pofrunąłem głową w dół przez trzy piętra. No cóż, nie było do końca tak jak sądzicie.

Przypuśćmy, że piekło i niebo istnieją naprawdę. W takiej sytuacji musi być też miejsce spełniające rolę czyśćca, gdzie trafia każdy umarlak. Po udzieleniu odpowiedzi na serię pytań natury egzystencjalnej jedni idą na prawo, inni zaś na lewo. Funkcję przesłuchującego pełni obuty w sandały wiekowy brodac, który z jakiegoś powodu zna się na tej robocie najlepiej.

No więc kiedy przychodzi moja kolej, stoję naprzeciw oblicza selekcjonera. Tamten ma przygotowany zestaw pytań pasujących do każdej sytuacji rozmówcy. Samobójców pyta zwykle o dwie rzeczy: Czy było warto i dlaczego.

Na pierwsze pytanie jeszcze nie potrafię odpowiedzieć, ale co do drugiego mówię bez chwili wahania:

– A dlaczego nie...?

Brodacz srogo patrzy ci prosto w oczy, tak abyś pojął, że kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. Po chwili opierdala cię jak święty Michał diabła tak, że już ci wszystko jedno, dokąd dostaniesz bilet. Piekło, niebo, byle nie życie wieczne.

Czy mam coś do dodania? Wzruszam tylko ramionami, bo kolejka za mną ponagla do zwierzeń. No to tamten rozkręca na nowo litanie oburzeń.

– Nie wyszło mi w życiu – odpowiadam. – Miałem być ważnym człowiekiem, osobistością, z którą liczą się wszyscy. Pragnąłem dokonywać rzeczy wielkich, ale nikt mnie nie zauważał. Przez dwadzieścia siedem lat byłem kroplą w oceanie zwyczajności. Żeby tak chociaż dostąpić szansy, aby wydrążyć skalę. Nic. Przeciekłem tylko przez palce historii jak reszta.

Starzec wygładził brodę, po czym rzekł:

– Myślisz, że tu odmieni się twój los...?

Jak slajdy ze starego filmu docierała do mnie smutna prawda. Po raz pierwszy zrozumiałem to w drodze powrotnej do domu. Siedziałem na tyłach autobusu. Przed sobą widziałem plecy współpasażerów. Spoglądając sennie za okno przypominaliśmy otumanione zwierzątka poszukujące najkrótszej drogi, która prowadziłyby do wolności. Wiedziałem, że tylko mnie przyszło do głowy takie porównanie, ale mimo to podjąłem ryzyko.

Z tłumu współwędźniów łowiłem spojrzenia wskazujące na jakikolwiek stopień pokrewieństwa dusz. Nikt się nie odwrócił. Z żadną z anonimowych postaci nie miałem na tyle silnej więzi, aby telepatia zrobiła swoje. Żeby tak chociaż jedna para oczu, człowiek nie czułby się tak samotny. I wtedy pomyślałem, że oto nastał przełom.

Po mojej lewej, przy drugim oknie siedział mężczyzna w średnim wieku o orlim nosie i zakolach wchodzących prawie na czubek głowy. Odkąd wsiadłem na przystanku, facet cały czas gapił się w telefon. Nagle przestał i nawiązaliśmy kontakt wzrokowy.

– Spójrz pan tylko – mówi tamten wskazując do przodu. – Jak długo to może trwać?

– Chyba już nie za długo – odparłem.

– Akurat. Jak znam życie będziemy się tak mordowali do usranej śmierci.

– Wie pan. Ja chyba ze sobą skończę szybciej.

– A pewnie. W życiu nie poszerzą tej jebanej drogi. Zobaczysz pan, jeszcze nasze dzieci będą stały tu w korku.

– Myślę, że napełnię wannę gorącą wodą i podetnę sobie żyły. Wzdłuż, o tak. – Przeciągnąłem palcem wskazującym po przedramieniu lewej ręki.

– W porządnym kraju uwinęliby się z tematem góra w trzy miesiące. Tylko u nas drogę budują tyle co piramidy w Egipcie. Wszystkiego dobrego, zaraz wysiadam.

Potem i ja wyfrunąłem z klatki tylko po to, by wrócić do niej nazajutrz dokładnie jedenaście minut po szóstej.

Wynajmowałem mieszkanie na trzecim piętrze, jak już wiecie. Kamienica przy ulicy Pod Gwiazdami była pozostałością po dawnym hotelu należącym do niejakiego pana Turnera, australijskiego emigranta, który według podań miał nie po kolei w głowie. O tym jednak opowiem wam kiedy indziej.

Zamknięty w czterech ścianach mieszkania ładowałem baterie. Tylko tu czułem się swobodnie. Czasem, tuż po powrocie z pracy, padałem od razu na łóżko. Nie zdejmowałem ubrań ani butów, nie odsłaniałem rolet, po prostu ładowałem na miękkiej pościeli. Oddychałem powoli i głęboko, dopóki nie poczułem, że naprawdę jestem u siebie.

Jak już wspomniałem robiłem wszystko, aby sprawować nad swoim życiem pełną kontrolę. Byłem do bólu schematyczny i nienawidziłem niespodzianek w stylu niezapowiedzianych wizyt, rozmów towarzyskich o pogodzie, prośbienia o drobne przysługi i tak dalej. Upływający czas odmierzałem starannie, nie trwoniąc go na to, co w ogóle mnie nie interesowało. Od ludzi oczekiwałem tego samego i co? Szybko okazywało się, że trafiam na samych spóźnialskich lekkoduchów, którzy nie znają się na zegarku, a jedyne pory, jakie wyznaczają to te „po obiedzie”, „po pracy”, „potem” lub „później”. Jakby gospodynie w całym kraju punkt piętnasta rozlewały zupe do talerzy.

Nie tolerowałem przejawów spontaniczności, braku organizacji w pracy jak i poza nią oraz lekceważenia służbowych obowiązków. Z ust nieomal ciekła mi piana widząc stanowisko Matyldy – koleżanki siedzącej tuż za moimi plecami. Na pierwszy rzut oka było widać, że Matylda należy do subkultury gotyckiej. Kiedy Szczęsny nazwał ją raz metalową, o mało nie przypłacił tego życiem. Skąd kretyń mógł wiedzieć, że ortodoksyjni goci pogardzają „metalami”, przecież nie uczą tego na kursach dla domorosłych biznesmanów.

Matylda nie respektowała żadnych zasad, za co z jednej strony jej nienawidziłem, z drugiej zaś podziwiałem, w końcu sam nie miałem tyle odwagi, aby ostentacyjnie sprzeciwić się wobec reżimu pracy, którą pogardzałem. Swoją bezkompromisowością wzbudzała we mnie kompleks niższości, a wtedy nienawidziłem jej jeszcze bardziej i tak w kółko.

Razem ze mną odpowiadała za relacje z klientami i wiecie co? Nie była taka zła. Pracowała efektywnie, miała niezłą gadkę i nie ustępowała rozmówcom ani odrobinę. Gdyby tylko zapanowała nad biurkowym bejzłem rozprzestrzeniającym się jak średniowieczna zaraza. Pewnego dnia po prostu nie wytrzymałem i powiedziałem:

– Przyszło ci kiedyś do głowy uprzątnąć ten chlew?

Obróciła się na krześle i wycelowała we mnie swoje oczy skryte za czarnymi soczewkami.

– Nie oceniaj mnie – rzekła.

– Ani mi to w głowie – odparłem. – Boję się tylko, że pewnego dnia zeżrą nas myszy.

Uśmiechnęła się.

– Czytałeś *Myszy i ludzie*?

– Co to ma do rzeczy?

– Jasne, że czytałeś. Właśnie sobie uświadomiłam, że jesteś jak Lennie. Nikt nie podejrzewa, że możesz być groźny, ale w twojej głowie siedzi coś nieobliczalnego. Najgorsze, że sam nie zdajesz sobie z tego sprawy.

George odnajduje Lenniego jako pierwszy. Po raz ostatni wspólnie obaj fantazjują o swojej farmie, a potem George przystawia przyjacielowi broń do głowy. Koniec nagonki.

Myślałem nad tym po powrocie do domu. Ważyłem każde słowo Matyldy, próbując przypomnieć sobie ton jej głosu i wyraz twarzy. Kiedy tylko skończyła swój krótki, ale cholernie ostry monolog, rozejrzałem się po sali. Nikt nie zwrócił uwagi na naszą kłótnię. Tylko siedząca najbliżej Izabela na ułamek sekundy

nadstawiła ucha i chociaż nie wierzyłem, by cokolwiek zrozumiała, podkułem ogon i wróciłem do pracy.

A więc to było takie proste. Coś, co mnie pochłonęło na lata, gotka-bałamaniara rozgryzła w krócej niż minutę. Kim byłem? Lenniem uciekającym przed własną naturą? Gorzej, jestem Lenniem i Georgem. Dokądkolwiek nie pójde, zawsze trafię na kraniec świata. Ani śladu po farmie czy królikach. Nic, tylko czarna ściana, jak okiem sięgnąć.

Znacie to uczucie, gdy łóżko parzy, jakby usłano je pokrzywami? Kiedy ściany zbliżają się jedna do drugiej, a obca siła chce cię przepędzić jak najdalej? Wtedy wiesz, że rozpoczęła się nagonka. Nie pozostało wiele czasu. I chociaż robiłeś to od dawna, dopiero teraz rozumiesz, przed czym naprawdę uciekasz.

Otwieram okno. Bosymi stopami staję na parapecie. Nie jestem panem życia i śmierci, jak sądziłem. O tym drugim teoretyzowałem co nieco, ale żyć, żyć na całego nie potrafiłem ani przez minutę. Myślałem, że wszystko robię naprawdę, tak samo jak myślałem, że kocham naprawdę. Istniałem jako bohater świata przedstawionego, postać z mokrych snów o niezniszczalnych twardełach wykutych z żelaza. Kto wie, może gdybym nie zachorował na mitomanię, zdołałbym uszczknąć kawałek tortu. Ale zachorowałem.

Tej nocy doświadczyłem przełomu. Właśnie wtedy.

Nazajutrz odbyłem kolejną podróż do pracy. Tym razem bez obciążenia. Nie siedziałem razem z innymi w klatce kontemplując nad osobistym cierpieniem. Jeśli już w ogóle, byłem biernym obserwatorem zdarzeń.

Dzień minął błyskawicznie. Po skończonej pracy uprzątnąłem biurko. Wolałem nie wzbudzać podejrzeń, toteż zabrałem tylko kilka drobiazgów mieszczących się do torby takich jak osobisty notatnik czy kalendarz. Na koniec krótkim *cześć* pożegnałem kilku znajomych, po czym ruszyłem po raz ostatni biurową alejką.

Tuż przed wyjściem posłałem Alicji krótki uśmiech. Być może, gdy jutro do biura dotrze wiadomość na temat powodu mojej absencji, przypomni sobie ten widok. Pragnąłem, aby tak się stało.

Całą drogę do domu myślałem o tym, co powinienem jeszcze zrobić. Najważniejsze decyzje podjąłem minionej nocy, ale nie zaszkodzi ponownie rzucić okiem na listę. Co do jednego byłem pewien od samego początku: żadnych listów pożegnalnych, a przynajmniej nie dłuższych niż sto, dwieście słów. Żadnego pieprzonego requiem dla umęczonej duszy, próby zbilansowania życia, poematu o cierpieniu płynącym z młodości i innych bzdur nawijanych na uszy jak makaron.

Powiadają, że pierwsze wrażenie jest bardzo ważne. Co dopiero powiedzieć o tym ostatnim, hm? Jedna wpadka na początku prawie zawsze daje pewien margines błędu, ale gdy lecisz głową w dół na zatracenie, nie masz już szans na poprawę. Nie mogłem pozwolić sobie na luksus niedomkniętych spraw, toteż z wyprzedzeniem opłaciłem rachunki za światło, wodę, a także czynsz. Wszystkie oszczędności – nie było tego wiele – przelałem matce na konto. W krótkim liście zastrzegłem jednak, aby nie wydawała ich na wystawną uroczystość pogrzebową. Wolałem, aby spożytkowała forszę na coś praktyczniejszego.

Mieszkanie wysprzątałem na błysk, zostawiając na stole komplet zapasowych kluczy oraz podpisane wypowiedzenie umowy najmu. Ubrania, książki, naczynia i resztę rupieci spakowałem do kartonowych pudeł. Odłączyłem z gniazda telefon stacjonarny.

Skok zaplanowałem dzień później w samo południe tak, aby mieć pewność, że żaden z dzieciaków nie będzie świadkiem aktu samozagłady. Mógłbym pozostać w mieszkaniu i podciąć sobie żyły lub łyknąć końską dawkę prochów, dzięki czemu teoretycznie uniknąłbym postronnych widzów, jednak wówczas ryzykowałem zasmrodzeniem domu. Czasem zwłoki zaczynają gnić nawet po kilkunastu godzinach. Pierwsze zwykle zielenieje jelito grube, a potem kolejne narządy usytuowane w jamie brzusznej. Wolałem tego oszczędzić zarówno sobie, jak i pozostałym lokatorom dawnego hotelu.

Niejednokrotnie wyobrażałem sobie moment symbolicznego przejścia na drugą stronę; chwilę, w której otwieram żyły albo nakładam na szyję pętlę. Każda z wizji trwała krócej niż rozmowa telefoniczna z ankierem. Kilka ruchów, gestów, męska decyzja i po sprawie, w końcu ile można konać. Pytanie brzmi, co zrobić z czasem poprzedzającym śmierć...? Do dwunastej następnego dnia było jeszcze daleko, a spać nie pośród pokrzyw i ostów jest męką Tantalą. Już lepiej wcale nie zmrzyć oka.

Z ustawionych w salonie pod ścianą kartonów rozpieczętowałem jeden. Były w nim filmy dvd. Przesunąłem palcem po rzędzie równo ułożonych pudełek, po czym wyciągnąłem jedną z płyt. Wybrałem *Dazed and Confused* Richarda Linklatera.

Decyzja nie była przypadkowa. Film ten przenosił mnie do nierzeczywistego świata małych lat i wiecznie upalonych lekkoduchów w typie Matthew McConaughey'a. Koniec roku szkolnego, zbliżająca się z tej okazji wielkimi krokami balanga, klimat i muzyka lat siedemdziesiątych, browar pity po raz pierwszy w życiu, pierwsze pocałunki i tyle. Żadnego moralizowania, co wolno, a czego nie. Geniusz tkwi w prostocie.

Trzeba wam wiedzieć, że *Dazed and Confused* zawsze wprawiało mnie w niemal hipnotyczny stan, po którym następował drastyczny spadek nastroju. Coś jakby kac po całonocnej zabawie bez opamiętania. Nie potrafię powiedzieć, czym dokładnie to było. Tęsknotą za epoką, która mnie ominęła? Żalem po straconej młodości? Pewne jest tylko to, że pobrzmiwające na samym końcu *Slow Ride* rozrywało moje serce bardziej niż żałobny marsz.

Filmy i książki. Najwierniejsi towarzysze życia w każdym momencie. Ktoś powiedział, że sztuka jest jedyną wartościową rzeczą, jaką pozostawiamy na ziemi. Ktoś inny stwierdził z kolei, że najpiękniejsze utwory to te, które nigdy nie powstaną. Nie można mieć wszystkiego.

Chciałbym zostawić po sobie więcej, o wiele więcej. Zbyt długo czekałem jednak na lepsze czasy, a przecież nikt nie obiecywał, że kiedykolwiek nadejdą. Czasem po prostu trafiasz do niewłaściwego miejsca z nadzieją, że kiedyś wszystko się ułoży i dopóki w to wierzysz, nie jest źle.

Chcąc, nie chcąc zasnąłem na fotelu przed telewizorem. Miałem wyjątkowo spokojny sen, pozbawiony psychodelicznych wizji o piekle, wiecznych potępieńcach czy grzechu śmiertelnym. Dochodziła dziesiąta, gdy otworzyłem ponownie oczy. Czarny ekran telewizora ukazywał teraz odbicie zapadniętego w fotelu człowieka. Wyglądałem żałośniej niż sądziłem. Z barkami uniesionymi do góry i z brodą przyciśniętą do klatki piersiowej przypominałem pokurcza, którego matka natura pozbawiła szyi. Nagle poczułem, że oczy wilgotnieją mi od łez. Po chwili ryczałem jak bóbr.

Spojrzałem na zegarek. Do południa brakowało trzech godzin. To za długo. Czasem po prostu dochodzimy do wniosku, że to wszystko nie ma już sensu. Wtedy najlepiej doświadczyć jakiegoś przełomu albo świadomie wypisać się z całego przedsięwzięcia. Raz na zawsze. Prawdę mówiąc nie sądziłem, że do takiej konkluzji dojdę jeszcze przed trzydziestką, ale cóż. Bywa i tak...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Quentin, dodano 04.12.2018 11:21

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.